

Teksty Drugie 2010, 1-2, s. 124-128



# Dwudziestolecie „Tekstów Drugich”.

Zofia Mitosek

## Zofia MITOSEK

### Dwudziestolecie „Tekstów Drugich”

Serdecznie dziękuję za prośzenie mnie do debaty dotyczącej kondycji literatury i nauki o literaturze – przy okazji dwudziestolecia tak cenionego i lubianego periodyku. Wypowiedź ta będzie dla mnie okazją do swego rodzaju „rachunku sumienia”, który wydaje się konieczny dla profesjonalistki zajmującej się od lat naszą dziedziną.

Czym dla mnie jest dzisiaj literatura? Jest to aktywność dyskursywna, odkrywająca nowe doświadczenia i nowe terytoria, które rodzą się na skrzyżowaniu różnorodnych działań ludzkich. Odkrycia te rzadko są efektem samego naśladowania: twórca fikcji tak konstruuje swój utwór, aby to, co zwykle i powtarzalne, codzienne i często banalne, stało się dla czytelnika objawieniem. Literatura doprowadza do takiego ujawnienia splątanych sytuacji życiowych (także językowych, komunikacyjnych), że czytelnik dostaje swego rodzaju zadyszki, oczarowania czy rozczarowania. Efekt ten ma naturę bardziej emocjonalną aniżeli intelektualną. Przypominam sobie moją pierwszą lekturę *Idioty* Dostojewskiego. Po zakończeniu powieści długo nie mogłam się uspokoić, straciłam humor, nastrój mój daleki był do „oczyszczenia” czy „rozładowania”, które to stany Arystoteles określił jako katharsis. Wręcz przeciwnie, w r a z z tą nierealistyczną fikcją skumulowało się we mnie poczucie zła, z którym przyszło mi długo żyć. Kiedyś, za Milanem Kunderą i Hermanem Brochem pisałam, że racją bytu powieści jest odkrywanie tego, co tylko powieść odkryć potrafi.

Nie kryję, że dziedziną preferowaną przeze mnie jest proza fabularna. Poza ćwiczeniami z poetyki rzadko czytam poezję, a jeśli ją czytam, to ze względu na ironię i paradoksy, które niesie skrótowa i metaforyczna forma wyrazu. Nie lubię poezji „retorycznej”, wszelkich pisanych wierszem wolnym „traktatów”, nawet jeśli ich przesłanie jest wysoce moralne czy polityczne, a nawet gdy są parodią takiego

przesłania. Z a t e m Szyborska, a nie Miłosz. A jednak mój odbiór literatury nie jest powszechny. I nie dlatego, że jestem teoretykiem, że szukam chwytów narracyjnych, komplikacji fabularnych, autorefleksyjności czy ironii. W pierwszej lekturze wcale ich nie szukam, dopiero potem, na seminariach... O tym, że odbiór mój nie jest typowy, wiedziałam, kiedy matka moja, pogrążona w powieściach Kraszewskiego, Sienkiewicza, Orzeszkowej, Prusa, mówiła: „To takie prawdziwe, jak w życiu, te wszystkie wahania, zdrady, wydarzenia historyczne”. Nie przejmowałam się wrażeniami matki, czytałam Hemingwaya i Faulknera, potem Dostojewskiego i Prousta. Stosunkowo niedawno jeszcze raz zetknęłam się tzw. recepcją popularną. Już drugi rok prowadzę w moim rodzinnym mieście „salon literacki”. Zbieramy się raz na miesiąc, po przeczytaniu wspólnie wybranej czy zasugerowanej przeze mnie książki. W grę wchodzi nie tylko powieści czy opowiadania, czytamy także prozę dokumentalną. Nie „żadną” Grocholę czy „arleki-ny”, raczej Fiodora Dostojewskiego, Josepha Conrada, Henry’ego Jamesa, Virginie Woolf, Szaloma Asza, Małgorzatę Szejnert, Mariusza Szczygła. Najnowszy Białośzewski. Upominają się o Masłowską. Grupa jest niewielka, liczy około 12 osób, wszyscy czytają dokładnie i pilnie. Przychodzą lekarze, inżynierowie, nauczyciele (ale nie poloniści, mimo że jest ich w okolicy kilkoro!!!). Grono jest więc niewielkie, mimo że w mojej miejscowości jest trochę tzw. inteligencji i artystów. Może nie odpowiada im formuła klubu. Ale w duchu podejrzewam, że oni po prostu nie czytają beletrystyki. Tym bardziej cenię naszą małą grupkę, utopijną wspólnotę, która jeszcze wierzy w literaturę, mimo naporu mediów, polityki i reklamy. Odbiór jest niezmiennie mimetyczny. Dla „moich” dyskutantów powieści opowiadają o tym, co im samym mogło się zdarzyć (tak jak Arystoteles określał fikcję); sprzeczą się o bohaterów, o niuanse ich psychiki, wartościują ich zachowania, konwencje kulturowe i oryginalność. Rzadko wnikają w zawikłania fabuły, kiedy mówię im o strumieniu świadomości, słuchają pilnie, ale nie reagują. Na podstawie tych spotkań mogę powiedzieć, że literatura ciągle jest obrazem życia, a czytelnik szuka w niej potwierdzenia własnej kondycji. Czy to znaczy, że niosę tym ludziom „pochodnię oświaty”? Ależ skąd, oni są świetnie wykształceni, tyle że nie można przymierzać do nich uniwersyteckich, teoretycznych modeli. To tak, jak stało się na seminarium z powieści Richarda Ohmanna: jego studentki zainteresowały się głównie reakcjami Connie Chatterley z powieści Lawrence’a. Powiedziały wręcz, że nie mogłyby uczestniczyć w mimetycznym odtworzeniu modelu „serdecznego kopolowania”, przedstawionym przez tego pisarza. Myślę, że ich odpowiedź jest dosyć typowa, bez względu na to, czy jest to amerykańskie seminarium z poetyki czy prowincjonalny klub. A jak czytają feministki?

To najnowsze doświadczenie dało mi do myślenia. Mnie także zdarzają się lektury mimetyczne. Gry narracyjne, chwytów autorefleksyjne, dowcip językowy na poziomie zdania czy akapitu, ironia werbalna czy sytuacyjna – wszystkie te procedury prowadzą do świata przedstawionego, który odbija się echem w mojej świadomości. Kiedy czytam *Śnieg* Orhana Pamuka, *Łaskarwe* Jonathana Littela czy *Pana Mani*” Awrahama Jehoszua, interesuję się tym, co one przedstawiają, odkry-

wam nowe, nieznanne mi wcześniej terytoria, wierzenia i kultury. Awangardowa forma tylko wzmacnia moje poczucie I n n e g o, który w lekturze staje się moim, bliskim, osadzonym w mojej sytuacji i z nią porównywanym. Czyż nie tym zajmuje się antropologia literatury? Ten nowy a zarazem bardzo stary rodzaj doświadczenia sprawia, że ostatnio wolę czytać powieści aniżeli teksty z teorii literatury, że spory metodologiczne powoli się ode mnie oddalają, a pozostaje „miazga” tekstu – tętniąca życiem, samogenerująca, rozbijająca mój intelekt.

Więc powiedziałam o moim doświadczeniu literatury. I o doświadczeniu innych. A teraz o badaniu. Jako osoba wychowana na strukturalizmie czytam zawsze „blisko tekstu”, z ołówkiem. Nieraz na skrawkach papieru robię indeksy. Ale na tym moja lektura się nie kończy. Zdarza mi się pisać o moich lekturach. A także – permanentnie, z racji zawodu – dyskutować o nich ze studentami. Za lekturami „dziewiczymi” podąża czytanie analityczne i interpretacja. Metoda „close reading” doprowadziła mnie do przekonania, że każdy tekst posiada swoją prawdę i że polega ona na jego koherencji, wynika z faktu, iż jest on efektem pewnego świadomego zamiaru. Tekst literacki potrafi się bronić przed nadinterpretacją, która wynika na ogół z pomijania jego tkanki, z niedostrzegania poziomów narracji, z n a t r ę t n e g o wyrywania maksym i życiowych „mądrości”. Co nie znaczy, że nie istnieją lektury pluralistyczne. Kiedy wracam do „moich” arcydzieł po latach, odnajduję pisane na świstkach indeksy, ale hasła często znaczą inaczej. Tak było z Jamesem, Conradem (pisałam o nim 3 razy), z Dostojewskim (2 razy), który jest moim „dyżurnym” autorem, z Derridą, którego pewnie nie kocham, ale pisałam o nim 3 razy i zawsze inaczej. Zmieniają się moje doświadczenia i moje horyzonty, inne są punkty zaczepienia. Więcej przeżyłam, ale i więcej przeczytałam. Intertekstualność nie jest dla mnie metodą badawczą; życie tekstów w tekstach jest moim życiem. Powinnaś dodać, że „moje” arcydzieła czytam zawsze z tym samym ogniem, a lektura wielokrotna odkrywa w nich coś nowego. Powtarza się sytuacja widzów *Króla Edypa*: publiczność ateńska знаła mit, znała zakończenie tragedii, a jednak przeżywała dramat Sofoklesa zawsze na nowo. Powinnaś powiedzieć o jeszcze jednym, zupełnie nowym dla mnie doświadczeniu literatury. Nagrywam powieści na odtwarzacz MP3 i w momentach bezsenności słucham. To zupełnie inny odbiór, aktor interpretuje tekst, który zaczyna żyć w głosie, a nie w piśmie. Tak słuchałam ostatnio *Annę Kareninę*, *Mistrza i Malgorzatę* oraz – po raz dziesiąty *Biesy*. Ale nie jestem jeszcze w stanie „steoretyzować” tego słuchowego przeżycia.

Z metodami skończyłam już dawno. W latach osiemdziesiątych napisałam, co wiedziałam, potem – zgodnie z metodologiczną modą – dopisałam cztery rozdziały. Po doktoracie, pogrążona w epistemologicznym kryzysie (niemało przyczyniły się do tego moje studia filozoficzne) wierzyłam, że przyjrzenie się różnym podejściom do literatury, historyczna opowieść o literaturoznawstwie pozwoli mi się rozprawić z relatywizmem i subiektywizmem, które groziły naszej dziedzinie ze strony krytyki literackiej. Wydawało mi się, że przejście na poziom „meta” pokaże jakąś prawdę, jeśli nie o literaturze, to o jej nauce. Nie wiem, czy pokazało. Mimo

że powstały potem bardziej nowoczesne syntezy, książkę ciągle wznawiają, a kilka dni temu ukazał się jej czeski przekład. Dzisiaj patrzę na ten elaborat inaczej. Tak naprawdę, to nie metody przedstawiałam, ale przebieg myśli humanistycznej ostatnich trzystu lat (w tym jej antyczne inspiracje). Warto pamiętać, że ani dla Kanta, ani dla Hegla, ani dla Ingardena a nawet dla Jakobsona literatura piękna nie była czymś nadzwyczajnym. Odbijała, współkształtowała, przekraczała granice doświadczenia, które istniały w kulturze danego czasu i w pytaniach, które jej człowiek stawiał. Nie jest przypadkiem, że moją drogę naukową zaczęłam od refleksji nad stereotypami, aby następnie przywrócić się naśladowaniu. Potem – poznaniu przez tekst. Teraz moją pasją jest ironia, pojmowana bardziej jako zjawisko komunikacyjne aniżeli artystyczne. Te wszystkie problemy nie wynikają z literatury ani nie określają jej specyfiki. Tworzą rodzaj wielkiej kuli, w której wszystko wiruje, a niektóre wiry w jakimś okresie okazują się silniejsze i wyrzucają na powierzchnię rozmaite ekspresje człowieka, także artystyczne. Czy również tak można pojmować antropologię literatury?

Odchodząc od wiary w metody, nie odrzucam wysiłków na rzecz syntezy literaturoznawstwa. Podejścia, które w nim widzą formacje dyskursywne, paralelne wobec formacji artystycznych, są cenne jako rodzaj *z a p i s u* myśli ludzkiej. Posługując się opowieścią, dialogiem, ironią, permanentnie intertekstualne, wskazują one na czas, w którym powstały i na uwikłanie podmiotów je tworzących. W tym sensie są one dokumentem – twierdzą – bardziej polityczno-społecznym aniżeli ściśle „scjentyficznym”. Natomiast jeśli chodzi o ich praktyczny, metodologiczny wymiar, to nie kryją sceptycyzmu. Wracając do metod. Dzisiejsze formacje intelektualne bardziej je burzą, niż tworzą. Czy hermeneutyka jest metodą? A dialogizm, tak popularny od czasów Bachtina? A dekonstrukcja? A badania nad ironią, które ukazują rdzenną niejednoznaczność sytuacji i postaw ludzkich? Z pewnością z tych kierunków nie nauczymy się, jak badać konkretne teksty literackie. Ale czegoś się nauczymy. Czego? Może głębszej lektury. Takiej, która odpowiadałaby przemianom w myśleniu o świecie. A także innego spojrzenia na kulturę i jej rozmaite artykulacje. Spojrzenia bardziej pluralistycznego, takiego, które nie wybiera prostych rozwiązań, które broni nas przed jednoznacznością fanatyzmów i scjentyzmów (mówię za Leszkiem Kołakowskim) i przynosi tak ważną tolerancję, nawet gdyby była ona pochodną przekonania o absurdalności naszej sytuacji, o aporiach, z którymi nie może sobie poradzić filozofia i antropologia. Możemy się nauczyć wreszcie krytycznego spojrzenia na samych siebie, bowiem – jak powiedział Kołakowski – jak byśmy głęboko nie kopali, to na dnie studni odnajdziemy własną twarz. Ale to właśnie miejsce zajęła *l i t e r a t u r a*.

Wyznania

## Abstract

**Zofia MITOSEK**

**University of Warsaw**

### **Twenty Years of *Teksty Drugie***

*A reply to the questionnaire on the occasion of the 20th anniversary of Teksty Drugie: my personal views on literature, literary studies and other issues of consequence.*

On the intense experience of reading: amateur and professional; lonely and collective; initial and repeated; with a pencil in the reader's hand and headphones on their ears.